

STARCRRAFT®

HEART OF THE SWARM



Impet

Danny McAleese

Nagle wszystkie eksplozje ustały.

Zapanowała dziwna cisza. W końcu powoli szarobiałe pióropusze dławiącego dymu uniosły się nad pole walki i odsłoniły, niczym w groteskowej sztuczce magicznej, pełną skalę zniszczeń.

Protosi byli brutalnie dokładni w swym ataku. Wokół, uszkodzone w różnym stopniu, walały się pancerze bojowe, w których jeszcze niedawno chronili się żywi, oddychający marines. Niektóre kombinezony były przypalone dezintegratorami cząsteczek, część podziurawiona ogniem nieustępliwych tropicieli, a jeszcze inne rozcięte z chirurgiczną precyzją przez palącą energię ostrzy psionicznych zelotów. Wszyscy żołnierze polegli.

Lub prawie wszyscy.

Pozorną martwość w obozie kel-moriańskim przerwał nagły ruch. Jeden po drugim zza tyłów zaczęli wysuwać się żołnierze — maruderzy, stąpający ociężale w swych wielkich pancerzach, i wypalacze z poczerniałymi, jarzącymi się rurami miotaczy płomieni. Ich niegdyś idealny szyk został rozbity, podobnie ruiny instalacji, której mieli bronić. Ale trzymali się. Nadal żyli. Już samo to stanowiło zwycięstwo.

Kapitan Marius Blackwood tego nie widział. Mknął w czołgu obłęźniczym „Arclite”, a dookoła roztaczał się krajobraz Morii, rozległe równiny czerwonego pyłu. Marius skupił się na małym skrawku świata widocznym w jego wizjerze. Zamiast przenikliwego jęku syren słyszał tylko uspokajające mruczenie silnika pod sobą.

— Wrogie wojska są w odwrocie. — usłyszał w komunikatorze. Słowa wypowiedziane przez robota z dowództwa centralnego brzmiały sztucznie, jak zawsze. — Wszystkie oddziały zgłoszą się do dowódców plutonów. Główny cel alfa. Przerwanie linii obronnych...

Marius wyłączył słuchawki, wiedząc, że zaraz wyleje się z nich nieskończony strumień bezużytecznej elektronicznej paplaniny. Szorstkie, zgrubiałe dłonie zacisnęły się na dźwigni zmiany biegów. Szarpnęło krótko, gdy czołg z rykiem wskoczył na wyższy bieg. Gąsienice wzbily tumany karmazynowego pyłu.

Ale Marius tego nie widział. Widział jedynie kolosa.

Był absolutnie olbrzymi — straszliwa sylwetka wyróżniała się na tle ponurego pobojowiska. Marius patrzył, jak maszyna wycofuje się na długich, pajęczych odnóżach i odwraca dziwną głowę, aby zabezpieczyć odwrót. Nadal znajdowała się poza zasięgiem. Marius wiedział, że kolosy są szybsze od czołgów obłędniczych. Był jednak jeden szczegół...

Maszyna kulała.

Samotnemu robotowi kroczącemu brakowało szybkości i gracji, którą dysponował, gdy zaczął się atak na obóz. Ta jednostka została uszkodzona. Marius włączył powiększenie na ekranie celowniczym i przyjrzał się niesprawnemu odnózu, którym powłóczył robot.

Czołgista docisnął gaz do dechy. Daleko z przodu równina kończyła się mrocznym postrzępionym łańcuchem gór. Trzeba dorwać kolosa, zanim tam dotrze. Żołnierz wyśrodkował celownik, skupił wzrok na odczycie odległości. Tylko jedno było pewne: trzeba podejść blisko.

Na konsoli przed nim zamigotało białe światło. Marius starał się je ignorować i prawie mu się udało. W końcu z westchnieniem walnął przycisk pięścią. Na popękany, zabrudzony ekranie pojawiła się znajoma sylwetka.

— Blackwood! — krzyknęła pułkownik. — Gdzie ty, do cholery, jedziesz?

— Przed siebie — odpowiedział szyderczo Marius. Już wiedział, jakiego rodzaju rozmowa go czeka.

— Dupa, nie przed siebie — udzieliła mu reprimendy podpułkownik. Jej niebieskie oczy błyszczały jasno nawet przez brud na ekranie. — Koniec zabawy, kapitanie. Wracaj. Musimy...

Nagle, bez ostrzeżenia, czołgiem wstrząsnęła eksplozja. Siłowniki hydrauliczne podwozia przyjęły większą część siły uderzenia, ale nie zatrzymały głowy Mariusa przed nieoczekiwanym spotkaniem z konsolą. Starając się utrzymać kontrolę nad pojazdem, odruchowo przebiegł palcami po czarnej czuprynie. Cofnął dłoń i zobaczył krew.

— Podobno wróg jest w odwrocie! — Marius ryknął do mikrofonu, rozglądając się przez wizjer. Mimo wszystkich misji, które wyjeździł w tej puszczy, weteran nie ufał w pełni czujnikom i monitorom.

— Bo był — warknęła podpułkownik. — Ale musiałeś wyrwać się przed szereg. Pakujesz się w uciekające niedobitki, kapitanie. Jesteś daleko przed...

Kolejny wybuch wstrząsnął czołgiem, tym razem niegroźny, z boku. Marius obrócił się i spojrzał na nowego przeciwnika. Jeden z tropicieli, uciekających w tym samym kierunku, w którym jechał czołg, obrał go sobie za cel. Odnóża zamazały się, gdy protos rzucił się do ucieczki.

Co on tu jeszcze robi? — pomyślał Marius z zaciekawieniem. Tropiciel powinien się już dawno teleportować i dołączyć do swoich cybernetycznych braci. Może był uszkodzony. Bez względu na przyczynę Marius nie zamierzał czekać na odpowiedź.

Zareagował od razu. Zawsze tak było, gdy jechał w swoim czołgu. Po latach praktyki Marius nauczył się, jak stopić się w jedno z tą maszyną. Dzięki temu nie było opóźnień między myślą a działaniem — pociągnął za lewy wolant.

Szarpnęło ostro. Gąsienice zawirowały dziko. Marius zaczekał, aż obracający się czołg znajdzie się przodem do tropiciela, i prawą stopą wcisnął sprzęgło. Nastąpił potężny ryk, czołg zadrżał, ustawił się na pozycji i wyszedł z poślizgu nie tracąc impetu. Ruszył naprzód z przerażającą szybkością.

Trzeba utrzymać impet — pomyślał Marius. Jak go stracisz, to po tobie.

Cione. Znowu. Marius skrzywił się, zaczął masować skronie brudnym kciukiem i palcem wskazującym.

— Nie teraz, bracie — powiedział miękko. — Jestem trochę zajęty.

Tropiciel obrócił tors, prawdopodobnie po to, aby obliczyć najlepszy sposób ucieczki, i dostrzegł ponad sześćdziesiąt ton stali pędzących w jego kierunku. Szybko wyrównał broń zakłócającą i zdołał oddać jeden niecelny strzał, zanim Marius wcisnął spust swoich dział kalibru 80mm. Podwójne uderzenie przebiło resztki osłon robota i rozwalilo go na kawałki. Czołg przejechał po resztkach zniszczonego cyborga.

Marius poczuł satysfakcjonujący chrzęst metalu ustępującego pod gąsienicami. Szybkie spojrzenie w tylny HUD — po cybernetycznym protosie zostały tylko strzepy. Przynajmniej te istoty ginęły, jak należy. Nie to, co zeloci, którzy dosłownie wyparowywali w przerażającym błysku. Przebiegł go dreszcz. Widok ten zawsze wzbudzał u Mariusa strach.

— Nieźle — wśród trzasków w słuchawkach rozległ się pozbawiony sarkazmu głos podpułkownik. — Dobra, zabawieś się, kapitanie. A *teraz* zawróć.

Ostatnie słowa wypowiedziała z surowością. Zwierzchniczka miała ku temu dobry powód. Marius ponownie zawrócił bowiem czołg i ustawił go przodem do kolosa. Włączył mikrofon.

— Zaraz wracam — zapewnił niewinnie. Czołg ponownie wzbijając pył pomknął przez czerwony krajobraz z niemal maksymalną prędkością. Marius rozluźnił się, pomruk silnika działał na niego kojąco.

— Rozkazuję ci natychmiast wracać! — upierała się podpułkownik. — Wiem, co chcesz zrobić, ale nie uda ci się go dorwać. Poza tym... — zamilkła na chwilę — ...promieniowanie nadal jest na niebezpiecznym poziomie.

Marius spojrzał w prawo. Na tle różowego nieba unosiła się złowieszcza, ciemna chmura. Była to pozostałość po taktycznym ataku, który zmienił losy bitwy na korzyść terran. Jakimś cudem jednemu z duchów udało się przekraść daleko w szeregi wroga. Możliwe, że za daleko: podobno biedny drań zagrał *va banque*.

Szczerze mówiąc, Marius nie wiedział, po co. Osadę kel-moriańską, do której obrony zostali wyznaczeni, oficjalnie nazywano peryferyjna stacją górniczą numer cztery — była to kolejna dziura, jak wszystko na tej planecie. Tę wykopano pośrodku rozległego morza pyłu i wokół nie znajdowało się absolutnie nic.

Jak na kolonię górniczą, stacja czwarta była niezwykle zmilitaryzowana, jakby chroniła coś ważnego, coś — sądząc po sile armii, którą rzucono do walki — czego bardzo pragnęli protosi.

Nie, żeby Mariusa to interesowało. Nie zawracał sobie tym głowy.

Wiedział tylko, że od samego początku bitwa była zaciekle. Pierwszy atak protoskich oddziałów naziemnych został wsparty przez trzy kolosy. Marius nigdy wcześniej nie widział tych maszyn, ale od razu zrobiły na nim wrażenie. Kolosy górowały nad całym polem walki i pogrążały strefę walki w palącym wszystko ogniu supergorących wiązek ze swoich lanc termicznych.

Dwa z behemotów zostały w końcu zniszczone. Czyn ten wymagał całej eskadry wikingów i śmierci większej liczby pilotów, niż dało się zliczyć. A i tak zwycięstwo nie byłoby możliwe bez pomocy drużyny goliatów, która poświęciła życie w tej walce. Zginęli marnie. Marius nadal słyszał agonalne krzyki operatorów, gdy ich maszyny zamieniły się w rozgrzane do czerwoności pułapki.

Nie czuł jednak niczego.

Był to najgorszy i najstraszliwszy rodzaj śmierci, ale Mariusa to nie obchodziło. Ci ludzie nic dla niego nie znaczyli — byli obcy, co do jednego. Śmiali się, bawili, żartowali... jak to młodzi. Cholernie młodzi. Kumplowali się ze sobą, jakby znali się od dawna, choć tak nie było, i to najbardziej wkurzało Mariusa.

Wszędzie, gdzie się udał, było tak samo. Nieważne, na której zapyziałej asteroidzie postawił stopę, ludzie go unikali. Z czasem niektórzy zaczęli się go wręcz bać. Twierdzili, że za często ryzykuje i za mało dba o bezpieczeństwo pozostałych żołnierzy. Na polu walki był lekkomyślny, nieustraszony i niebezpieczny. Jeden z jego dowódców nazwał go nawet żądnym krwi. Marius omal gościowi nie przyłożył, kiedy to usłyszał. Ale im bardziej zastanawiał się nad tymi słowami, tym bardziej przekonywał się o ich słuszności.

Oczywiście od czasu do czasu jakaś grupa próbowała go przyjąć w swoje szeregi. Miał odgrywać rolę siwiejącego, pooranego bliznami weterana dzielącego się doświadczeniem i

ojcowską wiedzą z młodszymi towarzyszami broni. Było to obrzydliwie sztampowe. Zawsze, gdy tylko się zaczynało, szybko i brutalnie kładł temu kres.

W końcu inni wzruszali ramionami i dawali Mariusowi spokój. Zawiązywali przyjaźnie, formowali więzy i zostawali towarzyszami broni. Ale nie *jego* przyjaciółmi ani *jego* towarzyszami broni.

A wszystko przez to, że towarzysze Mariusa zginęli.

Stoltzfus, Tallman, Marciniak, Cione. Wszyscy odeszli. Na początku obwinał za to wojnę: protosów i ich śmiercionośną broń oraz niemal nieskończony rój zergów. Nienawiść do wrogów zajęła miejsce przyjaźni w jego sercu, wypełniając pozostawioną przez dawnych towarzyszy pustkę. Ale, jak często robili to weterani, Marius Blackwood zdał sobie w końcu sprawę, że ze jego prawdziwym wrogiem nie byli przeciwnicy, z którymi przez te wszystkie lata mierzył się na polu walki.

Prawdziwym wrogiem był czas.

Czas odebrał mu przyjaciół. Wymazał ich z serc i umysłów tych, którzy mogliby pamiętać. Z całej piątki Marius był ostatnim. Kiedy i on pójdzie w zapomnienie?

Gdy to nastąpi, będzie tak, jak gdyby nigdy nie istnieli.

Migający na czerwono alarm przywołał go do rzeczywistości. Marius wyłączył sygnał ostrzegający o maksymalnych obrotach silnika. Nie przejmował się. Był już w znacznie groźniejszych sytuacjach i zawsze wyciskał z czołgu, ile tylko fabryka dała, a czasem znacznie więcej. Wiedział, na co stać tę maszynę lepiej niż inżynierzy, którzy ją zaprojektowali.

Cel był coraz bliżej. Marius widział teraz wyraźnie jego uszkodzoną nogę. Za kulejącym kolosem ciągnęła się smuga pyłu. Bezwietrzne środowisko planety sprawiało, że pył tworzył długi dobrze widoczny trop.

Ale Marius poradziłby sobie nawet bez tego. Wystarczył jeden, porządny strzał.

— Kapitanie! — rozległ się krzyk w słuchawkach. — Powtarzam po raz ostatni: wracaj!

Zaczynało już przerywać, sygnał był coraz słabszy. Marius przypomniał sobie, że stacja wzmacniająca została zniszczona w pierwszej fazie ataku. Jeszcze kilka kilometrów i całkowicie znajdzie się poza zasięgiem łączności z bazy. Kolejny problem z głowy.

— Blackwoo...

Nagle Marius zdecydował się na inne podejście.

— Widziała pani, co się stało! — przerwał jej z rykiem, Miał nadzieję, że zabrzmiało to wściekle i gniewnie. — Ilu naszych to cholerstwo spaliło żywcem? Mam mu pozwolić odejść?

Dał niezły popis. Był z siebie niemal dumny. Na kanale nastąpiła długa cisza, z głośników dobiegał tylko szum. Głos, który wreszcie usłyszał Marius, był spokojny i beznamiętny.

— Dobrze. — Podpułkownik zrezygnowała. — To wasz sąd wojskowy.

— Tak jest.

Błysk na wyświetlaczu wskazywał, że cel zmienił kierunek. Z jakiegoś powodu kolos zaczął poruszać się zygzakiem. Przekierowawszy czołg na wektor przechwycenia celu, Marius spojrzął w wizjer i już wiedział, dlaczego.

Na wschodzie niewielkie klify wyłamywały się z płaskiej, łożowej powierzchni planety. Były na tyle niskie, że kolos mógł je przemierzyć, ale dostatecznie strome, aby zatrzymać czołg. Marius rzucił soczyste przekleństwo i wcisnął serię przycisków na konsoli.

Pojawiła się holograficzna mapa topograficzna. Zrobił zbliżenie na klify i zaczął obracać obraz, przyglądając mu się z każdej strony i szukając podjazdu. Pół minuty później znalazł. Niedaleko na południe od punktu, do którego zmierzał kolos, znajdowało się skaliste nachylenie umożliwiające wjazd. Było niebezpiecznie strome, ale czołgista miał pewność, że je pokona.

Marius obrał kurs na podstawę rampy. Przedramieniem wytarł grube krople potu z czoła. We wnętrzu czołgu było skwarnie. Dawno temu kazał usunąć systemy chłodzące, ponieważ klimatyzacja obciążała silnik, a ciężkie kompresory stanowiły balast.

Gorąco mógł wytrzymać. Na swój sposób nawet nauczył się je lubić. Każda kropla potu symbolizowała odrobinę zyskanej prędkości. Zamiana wygod na osiągi była tylko jedną z wielu modyfikacji, które Marius wprowadził do swojego czołgu. Uśmiechając się pod nosem, przypomniał sobie dzień, w którym wziął do ręki palnik plazmowy jednego z mechaników i wyciął nim wizjer. Kiedy przełożeni zobaczyli dziurę w piętnastocentymetrowym pancerzu z neostali, niemal się udławili lunchem. Opierdol wszechczasów, który otrzymał Marius, trafił do legendy, ale poza tym weteranowi jak zwykle uchybienie uszło na sucho.

Spojrzał w wizjer przez grube szkło plastalowe, które zamontował wiele lat temu. Kolos zbliżał się do klifu. Nawet uszkodzony wyglądał zadziwiająco pięknie. Elegancki, pełen krzywizn korpus pokryty był wyrafinowanymi wzorami, dzięki czemu kolos bardziej przypominał dzieło sztuki niż maszynę wojenną. Z jego wnętrza bił upiorny, błękitny blask.

Będziesz tak siedział i się gapił, czy rozwalisz w końcu to bydłę? — znowu głos Cione. Marius opuścił głowę. Spojrzał ponuro na osmalone buty.

Już ledwo pamiętał czasy, kiedy te buty codziennie polerował na błysk. Byli tak strasznie młodzi — dzieciaki o gładkich mordach, świeżo po akademii, pozbawieni uprzedzeń, za to pełni energii i optymizmu. A jak się rwali do walki...

Mieli świat u stóp. W tamtych czasach wszystko zdawało się możliwe.

Cała ich piątka trzymała się razem na dobre i na dobre. Złego w ogóle nie brali pod uwagę i wszystkim to pasowało. Byli jak prawdziwi bracia, zawsze o siebie dbali i nawzajem pomogli sobie przetrwać chrzest bojowy. Nawet po tym, jak podzielono ich pluton, przysięgli sobie spotykać się, kiedy tylko to będzie możliwe, przynajmniej raz na rok, w „Szopie”.

Było to koszmarnie miejsce — najgorsza mordownia ze znanych im knajp, położona gdzieś na tyłach zdezelowanej podstacji w pobliżu Shiloh. Ale tutaj Marius i przyjaciele otrzymali pierwszy przydział, co czyniło to miejsce wyjątkowym. Z czasem je pokochali. Na przestrzeni lat stało się ich nowym domem.

„Szopa” była jedyną dobrą rzeczą w życiu Mariusa. Przez wszystkie lata spędzone w piekle zawsze wypatrywał powrotu do niej. Stanowiła jedyny pewnik w jego niepewnym, żołnierskim życiu.

Ale i to w końcu się zmieniło. Jeden po drugim, przyjaciele się wykruszali. Pierwszego zabrakło Stoltzfusa — jak się dowiedzieli, trafił pod lufę tuż przed swoimi trzydziestymi urodzinami. Podobno wybrał złą stronę w jakimś głupim powstaniu. Miało to nawet sens, młody był, do tego czarujący i ufny, ale nigdy nie zaliczał się do bystrzaków.

Marciniak zniknął kilka lat później, gdzieś w okolicach Char. Minęło parę dobrych lat i nadeszła pora na Tallmana. Zawinął się ledwie miesiąc po tym, jak dołączył do bandy jakichś pokręconych najemników. Marius i pozostali nigdy nie poznali wszystkich szczegółów — chodziło o jakąś nieudaną, mocno podejrzaną transakcję — ale ta śmierć zabolęła najbardziej. Billy Tallman był wyjątkowy. Nigdy nie wylewał za kołnierz, wygrywał najwięcej bijatyk i zawsze uwodził najpiękniejsze kobiety. Był ich nieformalnym liderem. I jeśli kogokolwiek z nich możnaby nazwać naprawdę niepowstrzymanym, to właśnie jego.

W końcu zostali tylko Marius i Cione. Przez dłuższy czas podtrzymywali tradycję: spotykali się, wspominali, wznosili nawet toasty za poległych towarzyszy. Nieważne, gdzie był lub gdzie się udawał. Gdy chodziło „Szopę”, Marius za nic w świecie nie mógłby jej sobie odpuścić.

Aż któregoś razu Cione się nie zjawił.

Nie było łatwo dowiedzieć się, co się z nim stało. Podobno zginął od bratobójczego ognia. Jeden z kierujących czołgiem „Crucio” nie przyłożył się do celowania i na cały oddział Cione’a spadł deszcz rozgrzanego do białości tungstenu. Nic po nich nie zostało.

Marius zacisnął powieki, przywołując wspomnienia. Jego dowódcy nigdy nie rozumieli, dlaczego jeden z najlepszych kierowców nie chce przesiąść się z wysłużonego modelu „Arclite” na nowszy. Nawet gdy przyszły oficjalne rozkazy, Blackwood odmówił, stając się obiektem żartów w swojej dywizji. Z czasem młodszy rekruci zaczęli uważać go za dziwaka. Widzieli w nim zatwardziałego sentymentalistę, skamielinę, która nie chciała iść z duchem czasu. Ale Marius wiedział swoje. Pamiętał, co stało się z Cionem i właśnie dlatego uznał, że nigdy nie postawi stopy we wnętrzu „Crucio”.

To była jego ostatnia wizyta w „Szopie”. W tym miesiącu minie pięć lat. Marius zamówił ostatnie piwo dla przyjaciela, postawił je przed pustym miejscem, na którym zawsze siedział Cione, i opróżnił swoją butelkę. Potem wyszedł. Tyle. Koniec. W progu odwrócił się i popatrzył na pięć miejsc, które kiedyś wypełniał śmiech i życie — teraz były puste i zimne. Zauważył jeszcze, jak barman wylewa piwo Cione’a do zlewu. Ostatnie piwo, którego jego przyjaciel nigdy nie wypije. Odeszło na dobre, tak jak on.

Jak oni wszyscy.

Alarm rozbrzmiał miękko, gdy czołg dotarł do wyznaczonego punktu kontrolnego. Zaciskając zęby, Marius zaczął wjeżdżać po rampie. Wyglądała bardziej stromo niż na wyświetlaczu i była dziesięć razy bardziej nierówna. Pojazd podskakiwał jak oszalały, Marius starał się utrzymać w fotelu, ledwo dało się sterować.

Blackwood raz „dachował” czołgiem, kiedy dopiero zaczynał szkolenie na kierowcę. Było to wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie i nie miał ochoty na powtórkę. Wtedy wystarczył kabel holowniczy — skończyło się na paru żartach. Kilka żenujących minut później pojazd znów postawiono na gąsienice. Ale jeśli Marius utknie tutaj niczym żółw przewrócony na plecy? Może to mieć śmiertelne konsekwencje. Wystarczyło, żeby kolos się odwrócił i skierował na czołg swoje wiązki. Zablokowany włącznik oznaczałby, że Marius zostanie uwięziony i nie będzie mógł ani uciec, ani się bronić. Wyobraził sobie, jak mogłyby wyglądać te ostatnie chwile: pancierz czołgu rozgrzany do czerwoności przez promienie, szybko podnosząca się, już teraz nieznośna, temperatura we wnętrzu...

Marius spojrzał na pistolet C-7 przypięty do biodra. Nie przypadkiem kupił go w tym samym dniu, w którym wywrócił czołg.

Stok był coraz bardziej stromy. Gdy nachylenie sięgnęło 50 stopni, Marius zredukował przełożenie o dwa biegi i mocniej zacisnął zęby sprawdzając dokładnie żyroskopy. Zdoła pokonać pochylenie do 60 stopni. *Może 65.* Więcej, a jego pojazd przechyli się do tyłu i stoczy po wzniesieniu, a ciało kierowcy zacznie obijać się we wnętrzu niczym kulka we flipperze.

Hałas na zewnątrz był ogłuszający, gąsienice wypluwały spod siebie kawałki skał i żwir. Pożerały teren, pchając czołg w górę przy straszliwym akompaniamencie stali trącej o kamień. Wewnątrz Marius poczuł, jak zmienia się środek ciężkości maszyny. Żołądek mu opadł. Lodowate palce strachu zacisnęły się na gardle. Wtem, ku swojej euforii i absolutnej uldze, czołgista dostrzegł szczyt wzniesienia.

Wskaźnik położenia pokazywał 63 stopnie przechyłu. Marius przełączył na ostatni bieg. Czołg wystrzelił z lufą skierowaną ku niebu i przeleciał po łuku nad krawędzią wzniesienia. Mariusowi aż serce zamarło, kiedy tył pojazdu przestał dotykać podłoża i gąsienice zaczęły obracać się w powietrzu — maszyna straciła oparcie i przechyliła się o dobre pół metra do tyłu. Sekundę później jednak wylądowała twardo i z hukiem na płaskowyżu.

Marius wyjechał z chmury pyłu i od razu dostrzegł swoją ofiarę. Oddaliła się przez czas, który stracił na podjazd, ale czołg mógł szybko nadrobić ten dystans. Kolos nadal powłóczył nogą niczym olbrzymi, ranny insekt. Zdawało się, że wpatruje się w czołg.

Odbiło ci. Całkiem ci odbiło.

Mógł to być głos Cione'a, ale Marius pomyślał, że to tylko wyobraźnia. Tak czy inaczej, nagle dotarło do niego w pełni, że to szaleństwo. I zdał sobie sprawę, że ma to gdzieś.

Oczywiście nie zawsze tak było. Kiedyś Mariusowi naprawdę bardzo zależało. Popatrzył ponuro na puste miejsce w rogu konsoli. Zamazany i ledwie widoczny prostokąt, jaśniejszy

od reszty powierzchni. Kiedyś wisiła tam fotografia. Zniknęła tak wiele lat temu, że zdawało się, jakby było to w innym życiu.

Hanna.

Kolejna z jego życiowych porażek.

Myśl, że była jego „największą miłością”, teraz śmieszyła Mariusa. Ale w innym miejscu i o innym czasie niewątpliwie ta kobieta kimś dla niego była — jego światłem w ciemności, połowiczną próbą stworzenia związku.

Poznali się w osadzie rybackiej, kiedy Marius stacjonował na Shiloh, a jego życie wydawało się jeszcze w miarę normalne. Jak on, była młoda, tylko bystrzejsza, inteligentniejsza i powalająco piękna. Miała stalowoszare oczy, włosy koloru miodu. Zakochał się na zabój. Niestety dla Mariusa, mocniej, niż wolno było żołnierzowi, którego służba rzucała po wszystkich dziewięciu znanych światach. Obowiązek zawsze wzywał.

Marius przejechał ubrudzonym smarem palcem po miejscu, w którym znajdowała się fotografia. Pamiętał zdjęcie tak wyraźnie, jakby nadal tam było: uśmiechnięta szeroko Hanna z żółtym kwiatem we włosach stoi nad brzegiem jeziora. Wybrali się wtedy popływać łódką.

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Dziewczyna, zdjęcie — to wszystko wydało mu się takie głupie.

Nagle rozbłysło jasne, żółte światło. Instynktownie zasłonił oczy. Nawet przez mały wizjer, blask niemal oślepił.

Kolos zaczął strzelać. Po obu stronach jego podłużnej głowy synchronicznie poruszały się dwie duże wieżyczki. Marius ostro zahamował. Zdawał sobie sprawę, że wróg potrafiłby

przeciąć czołg na kawałki. Ale kiedy kolos puścił kolejną wiązkę, czołgista zrozumiał, że jest poza zasięgiem.

Jedna po drugiej, podwójne wiązki z lanc termicznych robota kroczącego przesywały niebo trafiając w powierzchnię planety i tworząc głębokie szczeliny pełne stopionego piasku. Nagle Marius zrozumiał, co chce osiągnąć przeciwnik.

Czołg zadrżał, gdy przy pełnej prędkości najechał na jedną z rozgrzanych do czerwoności dziur. Włączyły się systemy stabilizacji, minimalizując wpływ wstrząsów na nadwozie, ale wyrw, którymi poorany został krajobraz, było zbyt dużo. Maszyna kiwała się gwałtownie do przodu i do tyłu, gdy Marius z trudem starał się manewrować przez zniszczony teren.

Kolos kontynuował ostrzał. Mariusowi w końcu udało się wyjechać poza strefę zagrożenia. Patrzył, jak robot wypala nowe dziury za sobą. Trzymanie się z dala od obszaru zniszczeń będzie wymagało więcej czasu, Marius nie będzie mógł już ustawić się naprzeciw celu. Mimo to czołg skracał dystans coraz bardziej. Teraz było już tylko kwestią minut, zanim dogoni cel.

Uwagę Mariusa zwróciły dwa migające światła, które zmieniły kolor z żółtego na biały. Czujniki zasięgu. Zajechał za daleko, znajdował się poza zasięgiem prymitywnych systemów łączności instalacji górniczych. Ludzie już go nie usłyszą, a on ich, nawet gdyby chcieli.

Nie żeby to miało znaczenie.

Prawdę mówiąc, Mariusowi już od jakiegoś czasu było to obojętne. Jak wszystko. Odczuwał jedynie zadowolenie, a i to tylko wtedy, kiedy oddawał się temu, co lubił: żołnierce. Wiele razy rezygnował z awansów, przeniesień, a nawet okazji do przejścia na

emeryturę, wolał martwić się tylko o to, dla kogo i gdzie będzie walczył. Nie zdawał sobie sprawy, jak do tego doszło, ale zamienił się w człowieka, który żył wyłącznie dla emocji wyzwalanych podczas zbrojnych starć.

Stoczył wiele bitew.

Zabił wielu.

Na jego twarzy pojawił się uśmiezek, gdy czołg zaczął podskakiwać na nierównym terenie. Od samego początku wszyscy z jego grupy liczyli zabitych. Była to wielowiekowa tradycja, którą razem przywrócili. Zaczęło się od Billy'ego rysującego kreski na hełmie, kiedy cała piątka była jeszcze w piechocie. Potem zmieniło się to w przyjacielską rywalizację, choć przez lata eskalowało.

W rezultacie cały bok czołgu był udekorowany tymi symbolicznymi trofeami. Marius zaznaczał zergi, protosów, a nawet wrogich terran, z którymi czasem zmuszony był walczyć. Liczył każdego zabitego i z uwielbieniem wypalał laserem kreski na neostalowym pancerzu swojej mrużącej maszyny do zabijania.

Zabici byli jego trofeami. Jego przyjaciółmi.

Tylko oni mu zostali.

Czołg manewrował w lewo i prawo przemierzając pyłową równinę. Marius trzymał się tuż przy granicy podziurawionego terenu. Może sprawił to intensywny żar, a może protoska maszyna zdała sobie sprawę z nieskuteczności swojego działania, ponieważ lasery w końcu przestały strzelać. Kolos odwrócił głowę od czołgu i kontynuował ociężały marsz.

Marius docisnął przepustnicę. Tętno mu przyspieszyło, gdy powoli zaczął namierzać cel. Poczuł, że żyje — żyje i jest bliższy niż kiedykolwiek odesłania parszywego lewiatana w kawałkach z tego świata. Za kilka minut zostanie tylko znak na boku czołgu, ale jakże ważny. A to dlatego, że przez tyle lat służby Marius nigdy nie miał okazji zniszczyć kolosa.

A bardzo pragnął mieć to na koncie.

Celując ogólnie w kierunku wroga, kapitan nacisnął przycisk i oddał szybki strzał. Pociski spadły niedaleko kolosa, jak należało się spodziewać. Marius chciał jednak zwrócić uwagę przeciwnika i zmusić go do użycia laserów, żeby sprawdzić, na ile może się zbliżyć, zanim odda prawdziwy strzał.

Marius nie miał złudzeń, co do ograniczonego zasięgu strzału. Lance termiczne rozerwą go na strzępy na długo, zanim kolos znajdzie się w zasięgu jego sprzężonych dział 80mm. Od początku wiedział, że jedyną szansą na załatwienie maszyny kroczącej jest działo oblężnicze — jeśli chodziło o Mjolnir, też nie miał wątpliwości. Marius znał się na swojej robocie.

Zaczął dokonywać obliczeń w głowie — szacunkowo ocenił dystans i zasięg, co był w stanie zrobić jedynie doświadczony czołgista. Jednak kolos nie strzelił. Dalej maszerował, ciągnąc za sobą uszkodzoną nogę. Maszyna krocząca nie znała strachu ani zwątpienia. Brak osobowości paradoksalnie ją wyróżniał. Z tej odległości wyglądała niesamowicie złowieszczo.

Marius zaczął pstrykać przełącznikami, wyłączając wstępnie zabezpieczenia, aby przejść w tryb oblężniczy. Czołg pędził nieubłaganie i z każdą sekundą nadrabiał dystans dzielący go od zdobyczy.

Marius wyczekał do ostatniej chwili... aż kolos odwrócił głowę. I wtedy wykonał ruch.

Rozległ się piekielny zgrzyt metalu, gdy czołg wyhamował w pełnym pędzie. Pojazd sunął jeszcze po zbitym podłożu przez dobre pięćdziesiąt metrów, nim stanął. Wzbił tumany czerwonego pyłu, które całkowicie zasłoniły widok. Zanim jeszcze maszyna się zatrzymała, Marius zaczął szybko i z wprawą operować serią przycisków i dźwigni.

Czołg uniósł się niczym żywa istota. Rozległ się złowieszczy szum układów hydraulicznych, kiedy wsporniki wysunęły się do przodu i opadły ciężko na suchą ziemię. Przez kilka nieznośnych sekund Marius mógł jedynie czekać, aż mechanizm zakończy pracę. Światło gotowości zmieniło kolor z czerwonego na zielony, sygnalizując pełną aktywację trybu obłączniczego.

Gdy czołg się zatrzymał, dystans między nim a kolosem znów zaczął się szybko zwiększać. Marius spojrział na ekran celowniczy, który namierzył już robota. Po obu stronach HUD-a zaczęły spływać strumienie danych przedstawiających różne trajektorie i możliwe korekty. Marius zignorował wszystkie informacje. Chwycił za urządzenia sterujące działem i ręcznie namierzył kolosa. Kształt protoskiej maszyny zdążył już wyryć mu się w pamięci.

Tuż za strefą bezpieczeństwa czołgu ziemia zaskwierczała i eksplodowała żółto-pomarańczowymi płomieniami. Kolos wznowił ostrzał. Człowieka w nozdrza uderzył dziwny zapach — palony ozon — i włosy na przedramionach stanęły mu dęba. Nadal nie widział niczego. Wyświetlacz pokazywał obrys kolosa, który powoli zbliżał się do maksymalnego zasięgu dział Mjolnir. Kciuk, który Marius trzymał nad przyciskiem, nawet nie drgnął. Żołnierz podszedł do zadania tak, jak zawsze. Na oko. Na wyczucie. Instynktownie.

Strzelił.

Działo czołgu huknęło ogłuszająco. Marius od razu puścił urządzenia sterownicze i pochylił się, wlepiając nos w ubrudzony wizjer. Minęła sekunda. Druga...

Nastąpił jasny, spektakularny wybuch. Kolos zatoczył się dziko na bok, gdy super-rozgrzany pocisk kalibru 120mm rozerwał jego pancerz. Zachwiał się niepewnie, niemal udało mu się odzyskać równowagę i ostatecznie legł. Gdy uderzył w ziemię, nastąpiła druga eksplozja, która rozerwała niegdyś piękną maszynę na tysiąc rozjarzonych kawałków.

Marius zrobił długi wydech. Opadł ciężko na fotel, poczuł mrowienie. Rozkoszował się ekstazą po zabiciu wroga. Dla takich chwil żył. Od zawsze. Chwile takie jak ta były jedynym, co mu pozostało w tym trudnym, zimnym życiu.

Przez minutę po prostu siedział z zamkniętymi oczami rozparty w fotelu, pozwalając, aby adrenalina rozlała się po jego wilgotnym od potu ciele. Z transu wyrwał Mariusa sygnał nieznanego alarmu. Kiedy żołnierz znowu otworzył oczy, połowa świateł na konsoli błyskała.

Na wyświetlaczu przewinęła się seria nowych danych. Marius aż wyprostował się w fotelu. Kiedy spojrział przez wizjer, widok zmroził mu krew w żyłach.

Tropiciele. Dziesiątki tropicieli. Horyzont za zniszczonym kolosem usiany był sylwetkami nacierających protosów. Długie, smukłe odnóża mniejszych maszyn krocących wzbijały tumany wirującego pyłu. A przed nimi, jeszcze bliżej, Marius rozpoznał wielkie egzozskielety zabójczych nieśmiertelnych.

Zareagował bez udziału świadomości, wciskając serię przycisków, aby przełączyć czołg z trybu obłądniczego. Nieśmiertelni pędzili ku niemu przez perfekcyjnie płaski teren. Marius ocenił, że przy tej szybkości ma niecałą minutę. Cholera, możliwe, że było już za późno.

Mijały cenne sekundy. Oczekiwanie było torturą. Kiedy czołg odmówił złożenia podpór, Marius wiedział, że coś jest nie tak. Gdzieś za nim zawyły syreny. Na wyświetlaczu na czerwono błyskał holograficzny obraz podpór.

Zaklinowały się.

Mówiłem ci, żebyś nie tracił impetu — Marius usłyszał w głowie głos Cione'a. Oczami wyobraźni widział, jak jego przyjaciel się uśmiecha. — *Robisz się na to za stary, brachu.*

Marius odciął wszystkie pozostałe układy i uderzył kciukiem w przycisk zwalniający. Nadal nic. Zęby kotwiczące czołg w trybie oblężniczym pozostały mocno osadzone w podłożu. Marius ponownie nacisnął przycisk, zaczęła go ogarniać bezradność, ale tym razem poczuł lekkie drgnięcie. Przy trzeciej próbie podpory w końcu wyrwały się z ziemi.

Czołg podniósł się. Syczenie układów chowających podpory stanowiło muzykę dla uszu Mariusa. Światła migotały na zielono, gąsienice znów dotknęły ziemi, już na dobre rozkręczone.

Marius zawrócił czołg i pomknął przez pyłową równinę, szybko zmieniając biegi. Widok protoskich oddziałów z tyłu wypełnił cały wyświetlacz. Komputer celowniczy zaczął automatycznie namierzać cele, wydając serię denerwujących piknięć, gdy rejestrował każdego z nadciągających przeciwników. Marius wyłączył system celowania i włączył mikrofon.

— Tu kapitan Blackwood z „Arclite 2717”. Odbiór?

Włączył słuchawki i podkręcił głośność. Przez chwilę panowała cisza.

— Podpułkownik Maxwell, tu Blackwood. Wracam. Słyszycie mnie?

Nadal nic. Na wyświetlaczu widział, jak nieśmiertelni zaczęli puszczać serie energetycznych strzałów, które trafiały w ziemię, nadal w dużej odległości od czołgu. Czujniki zbliżeniowe pokazywały jednak coś straszniejszego: tropiciele zaczęły się teleportować bliżej. Teraz znajdowały się już tuż za nieśmiertelnymi i szybko nadrabiały dystans. Za szybko.

— Gwen! — krzyknął Marius, starając się sprowokować podpułkownik najlepiej jak umiał, czyli używając jej imienia. — Nadchodzi druga fala ataku! Masa tropicieli. Są też nieśmiertelni. Pani podpułkownik! Ktokolwiek! Czy ktoś mnie słyszy? Nadaję na wszystkich częstotliwości...

Mariusza rzuciło do przodu, kiedy czołg przejechał jedną z dziur wypalonych przez kolosa. Czołgista skupił się na terenie przed sobą starając omijać pozostałe szczeliny.

Nagle kolejny wybuch, tym razem gdzieś przed nim, oświetlił czołg. Tropiciele znalazły się w zasięgu. Mariusowi zostało już niewiele czasu.

Czyli tak to się skończy, pomyślał. Tak się zawinę. Kolos to jego ostatnie trofeum... I nikt nie postawi ostatniego piwa, zanim Marius odejdzie w zapomnienie. To wszystko wydało mu się zabawne.

Na wyświetlaczu pojawiła się krawędź klifu. Nadal daleko. Zastanawiał się, czy zjechać z płaskowyżu przy pełnej prędkości i wyskoczyć na spotkanie śmierci. Zaśmiał się na tę myśl. To nie było w jego stylu. Jeśli już, to prędzej zawróci i stanie do walki. Mimo przewagi liczebnej wroga, Marius mógł narobić niezłych strat. Był pewien, że zdąży zabrać ze sobą jedną lub dwie maszyny.

Nagle, tuż przed nim, na niebie błysnęło raz i drugi. Najpierw słabo, potem coraz jaśniej i wyraźniej, gdy obiekt zaczął się gwałtownie zbliżać. To był reflektor. Reflektor desantowca!

Serce skoczyło mu do gardła. Marius docisnął przepustnicę tak mocno, że dźwignia omal nie pękła. Ale czołg pędził już z pełną szybkością. Kapitan mógł tylko patrzeć, jak pod nim przemyka pyłowa powierzchnia.

Pilot desantowca G-226 obniżył lot i ustawił się płynnie w jednej linii z czołgiem. Marius zobaczył, jak statek zapraszająco opuszcza rampę na skraju skalistego urwiska.

Eksplozja przy prawej, tylnej części czołgu zepchnęła pojazd na bok. Marius od razu zaczął korygować trasę. Przesadził, maszyną obróciło, ale udało mu się skontrolować.

Nie! — pomyślał dziko. Tylko nie teraz. Był zbyt blisko. Świadomie lub nie, w żołnierzu obudziła się nadzieja. Po wszystkim, co przeszedł, za cholere nie zamierzał się poddawać.

Gdy desantowiec obniżył się bardziej i wzbił kłęby pyłu, Marius usłyszał twardy chrzęst i zaczął popuszczać przepustnicę. Nie było miejsca na błąd. Jeden poślizg mógł posłać czołg w bok desantowca i obie maszyny spadłyby z klifu. Zostałyby z nich tylko pogięty złom.

Statek ewakuacyjny przyziemił, siłowniki podpór ugięły się pod ciężarem. Marius zwolnił i skupił się na kontrolowaniu szybkości. Z zaciśniętymi zębami wprowadził przód czołgu na rampę, a potem wjechał całym pojazdem do ładowni G-226. Nacisnął hamulce, zatrzymał się i włączył magnetyczne blokady gaśienic. Poczul, że żołądek mu opada, jakby połknął cegłę, kiedy pilot wzbił statek ku obcemu, różowemu niebu.

Na zewnątrz rozbrzmiewały strzały z działek przynajmniej tuzina tropicieli. Protoskie maszyny próbowały zniszczyć statek. Dźwięki szybko stawały się coraz cichsze, aż w końcu zniknęły. Urwisko pozwoliło transportowcowi zostawić wroga daleko z tyłu. Było po wszystkim.

Marius otworzył właz. Chłodne, słodkie powietrze wpadło do wnętrza. Żołnierz chciwie napełnił płuca – jeszcze nic i nigdy nie pachniało mu tak wspaniale. Gdy wyszedł, rozłożył się na czołgu. Pozwolił, aby nieostał rozgrzewała mu plecy, a chłodne powietrze owiewało zlane potem ciało.

Skąpany w jasnym świetle lamp ładowni, zmęczony Marius zamknął oczy. Błoga cisza skończyła się niecałą minutę później.

— Kapitanie Blackwood — rozległ się donośny głos gdzieś z tyłu. — Miło mi powitać pana na pokładzie!

Był to pilot statku. Marius ześliznął się z czołgu; nogi niemal się pod nim ugięły, gdy wylądował na karbowanej, metalowej podłodze. Wyprostował je, krzywiąc się straszliwie. W kolanach mu strzeliło.

— Proszę odpocząć na czas podróży, kapitanie — kontynuował pilot. — Stąd do bazy prosta droga. Niebawem sprowadzę pana z powrotem, więc proszę sobie zapalić, jeśli ma pan co.

Marius bezwiednie sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął połowę wymiętoszonego cygara. Zaczął obchodzić swoją maszynę oceniając zniszczenia.

— Przekaż pani podpułkownik, że chcę ją ucałować, gdy się zobaczymy! — zawołał w głąb ładowni, a głos odbił się echem od gładkich, stalowych ścian. — Sąd wojskowy czy nie!

Był pewien, że pilot go nie słyszy, ale to bez znaczenia. Marius obmacał się, szukając zapalniczki. Nie znalazł, ale i tak włożył cygaro do ust i przygryzł.

Przerwał obchodzenie czołgu. Większość tylnego pancerza była całkowicie rozerwana. Zostało tylko kilka fragmentów, powyginanych i stopionych przez ogień z działek tropicieli. Krawędzie nadal się tliły, w niektórych miejscach rozgrzały się do białości.

Marius ostrożnie pochylił się i zapalił cygaro o kawałek gorącego metalu.

Przeszedł na drugą stronę czołgu i odetchnął z ulgą. Jego trofea nadal tu były. Marius przesunął ręką po kreskach głęboko wrytych w neostali. Na końcu długiego szeregu wyczuł pustą przestrzeń.

To miejsce na kolosa. Nareszcie.

Nagle nastąpił straszliwy huk. Desantowiec przechylił się groźnie, rzucając Mariusa na kolana. Ból znowu przeszył mu nogi, a w stawach strzyknęło. Marius chwycił się czołgu i podciągnął z wysiłkiem.

Kolejna eksplozja, tym razem tak głośna, że niemal ogłuszająca. Statek zatrzęsł się gwałtownie, zarzucił ogonem i runął przechylając się tak, że Mariusowi zakręciło się w głowie. Nie utrzymał się — przeleciał przez całą ładownię bezwładnie niczym szmaciana lalka.

Pojawił się niebiesko-biały błysk, a po nim fala gorąca. Marius starał się znaleźć oparcie i usłyszał przeraźliwy syk powietrza uciekającego z ładowni. Nie miał się czego złapać.

Wnętrze statku eksplodowało ze straszliwym jękiem rozdieranej stali. Podłoga pod jego stopami zniknęła i Marius znalazł się w obrzydliwie różowych przestworzach. Obracał się, machał rękami i nogami w daremnej próbie odzyskania kontroli nad sytuacją, aż wreszcie poddał się losowi. Pod nim spadał czołg. Ostatni widok, jaki ujrzął Marius...

Nie czuł w ogóle strachu.

Czuł ulgę. Spokój. Wolność.

Uśmiechnął się.

Wirujące chmury kurzu zatańczyły pod feniksem, gdy statek lądował.

Osłona kabiny otworzyła się z sykiem. Pilot podszedł do powyginanych resztek terrańskiego desantowca, z których powoli unosił się dym. Przy burcie wbita w ziemię leżała wieżyczka czołgu oblężniczego. Powyginane lufy maszyny wojennej skierowane były w niebo.

Pilot pochylił się i sięgnął po jeden z rozgrzanych do białości fragmentów neostali. Obejrzał prymitywne żłobienia symbolizujące odniesione przez terranina zwycięstwa. Protos skłonił głowę w ponurym salucie. Był to gest przekraczający barierę języków i ras — rozumiał tego wojownika.

Nie, nie wojownika. Brata.

Wróciwszy do swojego statku, pilot wykorzystał kawałek metalu, aby wyryć własny symbol na kadłubie, tuż obok innych znaków.

Potem odrzucił fragment na spękaną, czerwoną powierzchnię planety, wszedł do maszyny i wzbił się w niebo.